

---

## BOHDAN KOPEĆ

### MÓJ WRZESIEŃ 1939 ROKU

Bohdan Kopeć urodził się 2 stycznia 1910 r. w Wilnie, gdzie spędził młodość i ukończył gimnazjum. W 1929 r. rozpoczął studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Stefana Batorego. W 1934 r. uzyskał dyplom inżyniera. Po odbyciu służby wojskowej w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu i praktyki w gospodarstwach rolnych powrócił do Wilna gdzie podjął pracę w Zakładzie Ekonomiki Rolnej na macierzystej uczelni. Pod kierunkiem prof. Witolda Staniewicza (kierownika Katedry, rektora, byłego ministra) przygotował rozprawę doktorską na temat: „Wychodźstwo sezonowe z Ziemi Wileńskiej do Łotwy” i obronił ją przed Radą Wydziału Rolniczego USB w czerwcu 1939 r. uzyskując stopień doktora nauk rolniczych.

Po wybuchu wojny został internowany w obozie na Litwie skąd dzięki pomocy miejscowych Polaków wydostał się wracając do Wilna. Na Litwę wrócił w listopadzie wstępując w związek małżeński z działaczką Polonii litewskiej Bronisławą Jaruszewicz. W grudniu 1939 r. dr B. Kopeć został wraz z całym personelem naukowym Uniwersytetu Stefana Batorego zwolniony z pracy przez władze litewskie, którym po napaści na Polskę Związek Sowiecki przekazał Wilno. Do 1941 r. zajmował się różnymi pracami zarobkowymi: m.in. pracował jako nauczyciel, kierownik młyna, portier w szpitalu. Przez cały czas okupacji niemieckiej zarządzał majątkiem opuszczonym przez właścicieli, a w czasie okupacji sowieckiej (powtórnej) pracował jako agronom powiatowy początkowo w Trokach a potem w Wilnie.

W czerwcu 1946 r. uciekając przed wywózką na Syberię w ramach ekspatriacji ludności polskiej B. Kopeć z rodziną przyjechał z Wilna do Torunia, gdzie rozpoczął pracę jako inspektor Pomorskiej Izby Rolniczej. W październiku tegoż roku przeniósł się do Wrocławia podejmując pracę na Uniwersytecie Wrocławskim w Katedrze Ekonomiki Rolnej na stanowisku adiunkta. 1 października 1950 r. otrzymał etat zastępcy profesora i powierzono mu obowiązki kierownika Katedry. Po zmianie struktur administracyjnych i dydaktycznych Uniwersytetu Wrocławskiego, utworzona została Wyższa Szkoła Rolnicza, na której we wrześniu 1952 r. B. Kopeć objął kierownictwo Katedry Ekonomiki i Organizacji Gospodarstw Rolnych. W 1970 r. Katedra została przemianowana na Instytut zaś prof. B. Kopeć mianowany jego dyrektorem. Nominację na docenta uzyskał w 1954 r. W listopadzie 1960 r. obronił pracę habilitacyjną i w 1964 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym, zaś w 1972 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego.

Prof. B. Kopeć jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ekonomiki rolnictwa, był uznanym specjalistą w dziedzinie organizacji gospodarstw rolnych, twórcą oryginalnych metod analizy i planowania rolniczego. Był członkiem Komitetu Badań Rejonów Uprzemysłowionych PAN oraz członkiem Komisji Ekonomiki Rolnictwa Wydziału Nauk Przyrodniczych PAN. Był odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, tytułem

„Zasłużonego Nauczyciela”, posiadał także wiele odznaczeń resortowych i regionalnych. Był promotorem 13 prac doktorskich, opiekunem naukowym i konsultantem w 9 przewodach habilitacyjnych. Czterech jego uczniów uzyskało tytuły profesorskie.

W 1980 r. odszedł na emeryturę nie przerywając pracy naukowej. Niezmordowany do ostatnich dni prowadził badania, ciesząc się uznaniem i szacunkiem swoich wychowanków oraz nauczycieli akademickich Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu (obecnie Uniwersytet Przyrodniczy), publikował wyniki swoich prac, prowadził zajęcia ze studentami i nie pozwalał się w nich wyręczać. Zmarł 22 sierpnia 1987 roku. Publikowany poniżej tekst pt. *Mój wrzesień* jest fragmentem spisanych przez Profesora wspomnień użyczonych redakcji „Zesłańca” przez Jego syna Mieczysława Kopcia, któremu serdecznie za to dziękujemy.

\*

Mieczysław Kopeć –  
Kawaler Zakonu  
Rycerskiego Grobu Bożego  
w Jerozolimie

Godzi się zaznaczyć, że B. Kopeć pochodził z patriotycznej rodziny kresowej, a jego praprzodek, brygadier Józef Kopeć był uczestnikiem powstania kościuszkowskiego (1794 r.) zesłanym na daleką Kamczatkę. Pobyt na tych mało wówczas znanych kresach Syberii opisał w interesującym pamiętniku zatytułowanym *Dziennik Józefa Kopcia brygadiera wojsk polskich*, którego pełne wydanie z rękopisu znajdującego się w zbiorach Biblioteki Czartoryskich w Krakowie ukazało się we Wrocławiu w 1995 r. w opracowaniu Antoniego Kuczyńskiego i Zbigniewa Wójcika, staraniem Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego. Były też wcześniejsze edycje tego pamiętnika (pierwsze w roku 1837 ukazało się we Wrocławiu, wszystkie znacznie skrócone, w porównaniu z ostatnią edycją, zawsze jednak cieszące się dużą popularnością czytelnictwem). Syn prof. B. Kopcia, lekarz weterynarii, Mieczysław Kopeć jest niezmordowanym strażnikiem rodowej tradycji, Kawalerem Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jero-

zolimie, prezesem Oddziału Wrocławskiego Związku Szlachty Polskiej oraz członkiem Królewskiego Związku Szlachty Litewskiej. (red)

\*

Całe lato przebywałem w majątku Uniwersyteckim Żemłosław koło Ejszyszek (około 70 km od Wilna) gdzie zbierałem materiały do pracy naukowej (monografia gospodarcza Żemłosławia) jako stypendysta Fundacji Żemłosławskiej. W drugiej połowie sierpnia przyjeżdżam do Wilna, na krótki czas – dla odwiedzenia matki, krewnych, znajomych, ponieważ przebakują o wojnie. W Wilnie spokój, żadnych niepokojących wiadomości. Decyduję się wracać do Żemłosławia. Rano wsiałam do autobusu na Placu Orzeszkowej – jednakże spostrzegam, że pasażerów jest mało, a ci co są wyrażają swój niepokój i spodziewają się najgorszego. Jestem jednak przeświadczony, że i tym razem obejdzie się bez wielkiego wstrząsu – przecież tyle czasu mówi się o możliwości wojny, a ona nie nadchodzi.

Autobus rusza (to był moment decydujący: gdybym został trafiłbym do kadry marszowej pułku i znalazłbym się w Oflagu jeśli bym nie poległ). Bez przeszkód dojeżdżamy na miejsce. Ale w Żemłosławiu zastaję samochód wojskowy z Wilna, który przybył aby zabrać jedną z praktykantek – narzeczoną pewnego oficera, a to z powodu wojny, która wisi na włosku. Nie było mi sądzone, abym przenocował w Żemłosławiu. Tego samego dnia – po południu ogłoszono mobilizację w Wilnie, zaś do mnie przyszło zawiadomienie telefoniczne z policji ażeby natychmiast jechał do swojej jednostki wojskowej. Była późna pora kiedy siadałem na furmankę aby dotrzeć po podłej drodze do stacji kolejowej Juraciszki odległej o 15 km od Żemłosławia. Jechał ze mną pewien starszy pan, instruktor rolny, który także niczego się nie spodziewając przyjechał z Wilna tego samego dnia. W Juraciszkach siadamy do pociągu przepełnionego cywilami, którzy otrzymali karty mobilizacyjne i jechali do swoich pułków w stronę Wilna. Jedziemy całą noc. Nad ranem wysiadam w Wilnie, ale nie mogę od razu stawić się w Nowej Wilejce idę po rzeczy do domu (brak autobusów, które zostały przejęte przez wojsko). Przebiegam się w mundur, biorę walizkę, żegnam się z mamą i natychmiast idę na dworzec.

Tego samego dnia, około południa melduję swoje przybycie pułkownikowi 13-go pułku ułanów wileńskich (zdaje się płk Schultz, któremu w kilkanaście dni później amputowano nogę). „Panie pułkowniku, podporucznik Kopeć melduje posłusznie swoje przybycie na ćwiczenia” – oto moje słowa. Pułkownik spojrział na mnie zdumiony. Lecz w jego słowach nie było ironii – „Na ćwiczenia?” – powtórzył i odwrócił się bokiem do mnie. Okazuje się, że spośród zgłoszonych wcześniej oficerów i żołnierzy został już przed moim przybyciem sformowany skład pułku bojowego. Trafiam do Ośrodka Zapasowego Brygady Wileńskiej jako zastępca dowódcy w 1-szym szwadronie. Dowódcą plutonu jest podporucznik

nik zawodowy S., człowiek, który nie przejmuje się sytuacją, oddaje się namiętnie grze na fortepianie a wszystko zdaje na mnie.

Skład bojowy pułku formuje się parę dni, wreszcie wyrusza żegnany przez nas, którzy pozostają. Pamiętam jak w chwili, kiedy padła komenda na koń, szyk załamał się i powstał chwilowy chaos bo konie świeżo zmobilizowane i nieprzyzwyczajone do jazdy zaczęły wierzgać i wyłamywać się z szeregu, a może była to wina odwykłych od koni żołnierzy? Zaczyna się normalna służba w garnizonie. Prowadzę musztrę plutonu i ćwiczenia bojowe. Chłopcy są niemrawi na ogół, jacyś nie doważeni i nie wyćwiczeni (np. nie wiedzą jak celować ze specjalnej muszki karabinu maszynowego ckm – do samolotów). Dowódcą Ośrodka Zapasowego Brygady jest pułkownik Grad-Sowiński. 1-go września na apelu wieczornym oznajmiam swoim żołnierzom, że zaczęła się wojna. Niemcy przekroczyły granicę, ale dodaję – spełnimy swój obowiązek, wróg nie uzyska zwycięstwa. Słuchamy wieczorami w kasynie oficerskim radia – coraz smutniejsze wiadomości.

Przyjeżdża do mnie matka – przywozi bieliznę zapasową. Przed koszarami zaczepia ją jakiś żołnierz i opowiada, że wojsko polskie jest już rozbite i że wszelka dalsza walka – daremna. Szukam tego żołnierza (rzecz oczywista niemieckiego dywersanta w przebraniu), ale na próżno. Często mamy do czynienia z tego rodzaju propagandą za pośrednictwem rodzin odwiedzających żołnierzy i oficerów. Obserwuje się jakby rozprężenie dyscypliny wśród żołnierzy. Przyczynia się do tego niesłychany bałagan w kuchni Brygady – przy wydawaniu posiłków tworzą się zatory, żołnierze jak zwierzęta walczą o dostęp do kotła, który jest jeden na tyle ludzi. Muszę grozić użyciem broni ażeby zaprowadzić jaki taki ład. Zwolnieni na przepustkę do miasta żołnierze (Nowej Wilejki) często wracają pijani, hardo odpowiadają oficerom. Jednego z takich sam osobiście musiałem odprowadzić do wartowni. Ale to wyjątki. Całość trzyma się dobrze. Przeżywamy naloty nieprzyjacielskie, ale bomb na nasze koszary nie zrzucają – lecą dalej na Wilno. Chronimy się w specjalnie wykopanych schronach całkiem prymitywnych – tuż pod koszarami. Przeżywamy upadek Westerplatte.

Któregoś dnia zjeżdżają inni oficerowie z poza naszej Brygady – niektórzy aż z Wołkowyska gdzie była szkoła zapasowa kawalerii. Jest wspólny obiad – przy dużym stole w kasynie zasiadają wszyscy na czele z pułkownikiem Grad-Sowińskim i pułkownikiem Dąbrowskim, słynnym zagończykiem z czasów wojny polsko-rosyjskiej 20-go roku. Podchodzi do mnie Z. były dowódca 1-go szwadronu ze szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, z którym nie sympatyzowałem w czasie gdy tam odbywałem powinność wojskową. Teraz ściska mnie serdecznie i całuje w policzek. Z oficerów można byłoby zrobić chyba pluton, jeśli nie dwa plutony. Sytuacja jest naprężona. U nas w Ośrodku brak broni, nie mamy też koni. Śmieszne, że z tego powodu pluton swój kawaleryjski musiałem ćwiczyć pieszko. CKM-ów nie ma – nie nadeszły zapowia-

dane zapasy. Również zwykle karabinki przysłano nam dopiero niemal ostatniego dnia. Pozostawiliśmy je nietknięte w olbrzymich ilościach.

Któregoś dnia zjawia się nieoczekiwanie jeden z młodych podporuczników zawodowych, który poszedł ze składem bojowym pułku. Powody jego przybycia trzymane są w tajemnicy. Później okazało się, że ten lalusz jako funkcyjny sztabu pułku pod Kutnem zgubił swego dowódcę i zamiast przyłączyć się do pierwszego lepszego oddziału frontowego dał drapaka na wschód aż się oparł w Nowej Wilejce. Są wysyłane z naszego Ośrodka niewielkie oddziały marszowe... ale na wschód. Jeden pluton odszedł pilnować opuszczonych koszar w Podbrodziu. Lecz co my mamy robić dalej? Czemu tu siedzimy? Wreszcie któregoś dnia pada rozkaz, że od następnego dnia idziemy budować okopy i stanowiska na Pośpieszkę pod Wilnem. Z Nowej Wilejki do Pośpieszki jest chyba 7 km. Idziemy i cały dzień kopujemy wspólnie z piechotą, a na noc wracamy do koszar w Nowej Wilejce. Po drogach włóczą się jacyś uciekinierzy z zachodu i opowiadają straszne rzeczy. Podejrzewamy wywiadowców. Dwóch takich bez dokumentów łapiemy i odprowadzamy na policję.

\*

Bohdan Kopeć –  
słuchacz  
Szkoły Podchorążych Kawalerii w  
Grudziądzu (1934 r.)

Nareszcie rozkaz! Wymarsz całej brygady na stanowiska na Pośpieszkę. Rozkaz w formie alarmu z samego rana. Jestem tak przejęty, że nie pamiętam nie tylko o swoich rzeczach lecz nawet o wyjściowej marynarce, w której mam swoją, legitymację wojskową. Wychodzę do 1plutonu, nie mam czasu wrócić do izby więc pozostają tam wszystkie moje ba-

gąże. Stwierdzam później, że to tylko ja byłem taki nieopatrzny – inni oficerowie załadowali swoje liczne niekiedy walizy na taczanki. Wraz z żołnierzami fasuję zwykły kbk i przewieszam przez plecy, także zwinięty w rulon płaszcz. W tym stroju nie wyglądam na oficera, ale czuję się pewniej tym bardziej, że tylko nielicznym rozdano pistolety. Ja mam przy sobie jedynie stary pistolet stryja Feliksa wypożyczony od stryjenki Marysi.

Idziemy przez Wilno, gdzie rozchwytyują gazety. Kupuję w kiosku „Słowo”. Pamiętam sentencję. „Ten jest dowódcą, który pierwszy każe strzelać”. Poza tym same bujdy o przełamaniu linii Siegfrieda itd. Na Pośpieszce w prawo od folwarku, w lesie zajmuje nasz pluton stanowisko. Po tej stronie drogi jest linia obronna spieszanej kawalerii, po przeciwnej aż do rzeki – piechoty. Kierujemy stanowiska ogniowe na szosę wiodącą do Niemenczyna. Stamtąd spodziewamy się Niemców. To był dzień 15-go września. Otrzymuję rozkaz zaciągnięcia stanowiska bojowego ze swoim plutonem na sąsiednim wzgórzu, bliżej szosy Wilno – Niemenczyn. Wykonuję rozkaz, wystawiam czujki. Zapada ciemna jak oko wykol noc. Postanawiam osobiście nawiązać łączność z sąsiednim oddziałem po lewej stronie, nikt mnie nie mówi jaki to oddział. Po długim błędzeniu docieram wreszcie do folwarku Pośpieszka gdzie oficerowie są w dobrym nastroju, niczym się nie przejmują. Wracam podniesiony na duchu. Z rana nowy rozkaz dowódcy szwadronu: zejść ze stanowiska plutonem. Przybywa tabor konny ze sprzętem, amunicją, zaopatrzeniem. Mam zająć z plutonem sąsiednią zagrodę i przygotować odpoczynek żołnierzom po nieprzespanej nocy.

Jest dzień 16-go września. W południe pakuję się, nagle przyjeżdża autobus, wysiadają z niego oficerowie. Widzę majora Z., który podchodzi do mnie blady i trzęsącymi się wargami oznajmia, że wojska sowieckie dziś rano przekroczyły granicę. Podczas gdy szykujemy się do spania w stodole nadchodzi niespodziewana i jakże radosna wieść „Koniec wojny – bunt w armii niemieckiej, przewrót w rządzie, Hitler nie żyje!” Pędzę do dowódcy szwadronu. Wszyscy nie posiadają się z radości. Podobno przed chwilą taką wieść podało Radio Polskie.

Zapada wieczór. Siedzimy zgrupowani pod drzewami razem z dowódcą szwadronu. Ktoś melduje, że jacyś żołnierze skradają się pod nasze stanowisko. Być może Niemcy mimo wszystko. Dowódca szwadronu wysyła mnie na rozpoznanie (co za bzdura, na to trzeba, oficera!). Zdejmuję ostrogi ponieważ w ciemnościach zawadzałyby w przeprawie przez krzaki, zresztą bez koni i tak są dla mnie niepotrzebne. Wychodzę na skraj lasu i widzę rzeczywiście jakieś skradające się cienie. Odbezpieczam kbk ale na szczęście niezupełnie – tak że w chwili kiedy ów domniemany nieprzyjaciel wychodzi na mnie tylko dla dodania animuszu pociskam sprzęt i wyskakuję z okrzykiem: „Ręce do góry! Rzucić broń!” Okazuje się, że był to nasz żołnierz z sąsiedniego oddziału, który oddalił

się. Omal nie zginął nieborak. Twierdził, że zmylił w ciemności drogę. Wracam do dowódcy i melduję co zaszło.

Siedzimy dalej niepewni co nastąpi. Naraz widzimy jak zapalają się wszystkie światła wzdłuż szosy. Co to! Z jakiego powodu? Nadbiega goniec z rozkazem: szwadron ze stanowisk, maszerować w kierunku mostu strategicznego. W przeczuciu czegoś niedobrego maszerujemy w największym bojowym porządku oświetloną szosą, skręcamy na most, tu widzimy majora Z, jak dozoruje regulowanie kierunku marszu. Schodzą wszystkie oddziały ku Pośpieszce – także piechota. Idziemy przez Pióromont ulicami miasta. Jest noc, ale ludzie w domach nie śpią – „Gdzie to idziecie?” – pyta jakaś kobiecina. Ba! – gdybyśmy sami wiedzieli? Ale domyślamy się po trosze. Sądzimy, że każą nam zajmować stanowiska po tej stronie Wilii – ktoś mówił, że gen. Żeligowski objął dowództwo obrony miasta. Ale to się nie sprawdza. Idziemy Wilkomierską mijamy ją, wychodzimy na szosę do Mejszagoły. Nad Wilnem palą się światła. Co to oznacza? Później dopiero okazało się, że w tym samym czasie Wilno zostało zajęte przez wojska rosyjskie. Nasz plutonowy uzyskał z wieczora pozwolenie na krótki czas do Wilna kiedy jeszcze siedzieliśmy na Pośpieszce. Idąc Ostrobramską wpakował się między jakieś czołgi. Można sobie wyobrazić jakie było jego zdumienie gdy stwierdził, że są to czołgi nie nasze – lecz sowieckie. Czym prędzej wrócił do nas i to był powód całego alarmu.

Szosą na Mejszagołę idzie cała rzeka wojska, ale już w kompletnym nieładzie. Mijamy porzucone w polu CKM-y. KBK, skrzynki z amunicją. Jakies oddziały kłębią się i wzajemnie przeplatają. Staram się utrzymać swój pluton w ryzach. Idę na czele wraz ze swoim zastępcą – podchorążym, podaję od czasu do czasu krok, odchodzę, pilnuję aby były trójki wśród żołnierzy. Jesteśmy znużeni i niewyspani (w ciągu nocy nie zamknąłem ani przez chwilę oczu) – wkrótce widzę, że mój podchorąży wali się z nóg: odprowadzam go i ładuję na wóz. Sam wracam. Chwilami czuję, że idąc zasypiam – budzę się w ostatniej chwili przez upadkiem kiedy już uginają się przede mną kolana opanowuję się ostatnim wysiłkiem idę dalej.

Świta. – spadają z nieba jakieś ulotki – daleki szum samolotów. Jedną z nich ktoś podnosi: Czytam: „Witajcie armię czerwoną oswobodzicielkę od pańskiego, burżuazyjnego ucisku”. Podpisał Żukow, generał armii ZSRR, dowódca białoruskiego frontu. Milczymy. Idziemy dalej. Kiedy zbliżamy się do Mejszagoły jest już zupełnie światło. 28 km szliśmy całą noc. Przed miasteczkiem, na wzgórku stoi kilku wyższych oficerów. Na widok naszego szwadronu oczy ich smutne ożywiają się. To pierwszy oddział, który przybywa w porządku w jakim takim szyku wojskowym. Ci wojskowi twierdzą, że sytuacja nie jest tragiczna – właśnie przed chwilą uzyskali połączenie z Grodnem – tam są nasze oddziały. Jaki zamiar? Obrona Mejszagoły. Będziemy się więc bić! Stajemy w dwuszeręgu. przed kościołem. Rozkaz dowódcy szwadronu: ppor Kopeć z plutonem zajmie stanowisko w folwarku Gudeliki jako odwód szwa-

dronu. Reszta plutonów – na stanowiska bojowe. Odchodząc widzę jak zajeżdżają działa zajmując stanowiska w kierunku strzału na szosę do Wilna. Idę z plutonem parę kilometrów do widniejących opodal kęp drzew. Po drodze spotykamy naszych żołnierzy, ale oni już bez broni i bez pasów: to ci, którzy na granicy litewskiej złożyli broń. Mój podchorąży bije ich i pluje w twarz.

Folwark Gudeliki to kępa drzew i kilka domków, z nich jeden większy, widać dom właściciela majątku przed którym rozległy placyk otoczony zewsząd drzewami. Gdy przyszlismy na to miejsce było ono jeszcze puste, ale wnet zaczęło napełniać się żołnierzami z różnych jednostek wojskowych: okazuje się że nie my jedni zostaliśmy w to miejsce skierowani. Niestety, ci żołnierze wyglądali jak owce bez pasterzy – widać było, że nie stanowią już wojska, że raczej szukają schronienia i nie wiedzą co ze sobą zrobić. Chcę zaprowadzić jakiś porządek w to tałatajstwo, ale zdaję sobie sprawę że nie przydadzą się na nic groźne słowa i rozkazy. Wobec tego chcę podporządkować sobie oprócz swego plutonu zdemoralizowanego widokiem wracających z nad granicy rozbrojonych żołnierzy jeszcze pewną część innych żołnierzy, żeby przynajmniej stworzyć jakieś poczucie ładu.

Tymczasem nadchodzi wieść, że również obrona Mejszagoły nie dojdzie do skutku. Szosą w kierunku granicy litewskiej wałą żołnierze całymi kupami, jadą wozy naładowane sprzętem i jakimiś pakami. Moi żołnierze także gdzieś się niektórzy rozchodzą, mieszają się z kupami innych, stoi przy mnie tylko nieliczna garstka. Wpada mi do głowy myśl: tu będzie moje Westerplatte!! Widzę większą kupę żołnierzy przed dworkiem. Wołam do nich tak aby posłyszeli wszyscy: „Baczność! W dwuszeregu zbiórka!” Na ten głos, widocznie z przyzwyczajenia zbiera się i ustawia około 100 osób. Wszyscy z karabinami, w pełnym uzbrojeniu. Teraz każę odliczyć i daję komendę: „spocznij” Stojąc przed frontem przedstawiam sytuację: walka jest beznadziejna, ale musimy do końca, wytrwać, zhańbić się ucieczką nie możemy. W tym miejscu będzie nasze Westerplatte! Zdobędziemy broń, wystawimy ckm ze wszystkich stron, będziemy bronić się do ostatka. Na walkę beznadziejną potrzeba mężnych serc. I dlatego ogłaszam: kto nie poczuwa się na siłach niech zdejmie pas, wystąpi z szeregu i złoży broń przed frontem, a potem odejdzie gdzie chce. Pozostaną tylko ci, którzy chcą walczyć do ostatka.

Nim rozstrzygnęła się ta sprawa z za krzaków wyjechał na pięknym koniu jakiś nieznany major i zaczął zbliżać się do mnie. Dałem komendę: „Baczność, na lewo patrz!” i sprężystym krokiem podszedłem do majora, stanąłem i zameldowałem oddział na zbiórce. Kiedy skończyłem, kiwnął głową, pokręcił się na miejscu i niebawem odjechał znikając za kępą drzew. Teraz jeden po drugim występowali moi żołnierze, zdejmowali pasy, ustawiali w sposób przepisowy karabiny w kozły i odchodzili w bok. Pozostało zaledwie kilku z bronią w ręku, którzy mimo wszystko



zdecydowali się, nie chcieli odejść. Mój podchorąży zbliżył się do mnie i oświadczył, że widział dwa pyszne konie wojskowe porzucone przez jakiś oddział pasące się na łące. Prosił ażebym mu pozwolił je przyprowadzić – jeden będzie dla mnie drugi dla niego: obaj przebijemy się na południe i dołączymy do walczących jeszcze gdziekolwiek oddziałów. Podobała mi się ta myśl, więc zgodziłem się.

\*

Bohdan Kopeć –  
docent Wyższej Szkoły Rolniczej we  
Wrocławiu  
(1955 r.)

Podchodzi do mnie jakiś nieznajomy oficer artylerii zaczyna twierdzić, że obrona Gudelik nie ma sensu, ale na wszelki wypadek dobrze jest wypatrzeć odpowiednie miejsce na stanowiska dla ckm-ów. Ofiarowuje się pójść ze mną w tym celu na przedpole. Zmierzając w kierunku drogi natykam się na grupę oficerów z mojego pułku, których z całym szwadronem pozostawiłem w Mejszagole. Co tu robicie? – pytam. Ale oni milczą. Ich oczy mówią wszystko: są smutne, zrezygnowane. – Będziemy bronić Mejszagoły? Gdzie dowództwo? Co robią wasze plutony? Wzruszają ramionami „Wszystko skończone.”

Tej chwili, nigdy tego nie zapomnę, jakiś podoficer (sierżant lub plutonowy) dostaje szoku nerwowego. „Wszystko skończone! – krzyczy na cały głos – więc znowu to samo, znowu niewola. Polska zginęła, Polska w niewoli!” Pada na trawnik, bije się w piersi i gryzie ziemię zębami. Tej scenie przyglądają się w milczeniu wszyscy zgromadzeni niedoszli

obroncy Mejszagoły. Nie wytrzymałem. Podniosłem nieszczęśliwca i powiedziałem to co w tej chwili pomyślałem. „Polska nie zginęła. Polska żyć będzie w sercach Polaków. I nigdy przez to nie zginie!” Poczułem, że ciąży mnie karabin, który trzymałem bez przerwy na ramieniu, zdjęłem go i położyłem na trawniku, nie odstępował mnie ów oficer – artylerzysta ani o krok. Coś prawił do ucha o tym, że należy mimo wszystko iść zrobić stanowiska ogniowe dla ckm-ów, a ja wiedziałem, że choć to jest na próżno, ale trzeba. tym się zająć. Ciężył mnie płaszcz zwinięty w rulon i chlebak, który miałem przewieszony przez ramię. Pewien żołnierz – szeregowy, z tych co to nie złożyli broni ofiarował się, że dopilnuje moich rzeczy zanim nie wrócę. „Jest kilku – być może znajdzie się ich więcej” – pomyślałem. Złożyłem wszystko co miałem na trawniku i poszedłem z moim „adiutantem”, wyszliśmy przez krzewy na puste pole. Przed nami rozciągała się równina płaska jak stół.

O tam dalej, znajduje się coś odpowiedniego – mówił ów zły czy dobry duch i pociągnął mnie za sobą. Spotkaliśmy dwóch policjantów, którzy pytali nas o drogę do jakiejś miejscowości. Szli całą noc i dzień z daleka. Teraz ów artylerzysta odkrył swoje karty: zaczął przedstawiać mnie, że mój zamysł obrony Gudelik jest nierealny, że wojna nie skończy się na tym, że teraz naszym obowiązkiem jest przedostać się za granicę do Francji i walczyć dalej. On to zamierza uczynić i dlatego pójdzie na Litwę, radzi mi to samo. Wracamy do Gudelik. Nigdzie nie ma mojego żołnierza ani śladu – moich rzeczy oczywiście tak samo, nic nie słychać o podchorążym ani o jego koniach. Jestem jak stoję, nie mam nawet płaszcza. W alei ukazuje się jakaś furmanka. Widzę, że siedzą na niej moi koledzy z Ośrodka są smutni, zrezygnowani. – Dokąd? – pytam – granicy – odpowiadają – taki rozkaz. Nie proszą mnie. Ale mój artylerzysta już się sadowi. Cóż mam począć Idę i ja.

W ostatniej chwili podnoszę z ziemi jakiś porzucony płaszcz żołnierski, ażeby mieć przynajmniej czym się okryć w razie deszczu. Wyjeżdżamy na szosę. Chabeta ciągnie przeładowany niemożliwie wózek, który w dodatku trzeszczy jakby miał się za chwilę rozlecieć w kawałki. Jedziemy nie sami. Cała kolumna wozów z żołnierzami i sprzętem posuwa się w tę samą stronę. Ktoś strzela z boku – jacyś ludzie rozsypani w tyralierę po polu – to – mówią dąbrowszczacy – partyzanci.

Tuż przed granicą napotykamy nasz tabor szwadronowy z plutonowym dowódcą i kilku żołnierzami. Jest tam cenny sprzęt m.in. radiowy. Plutonowy spostrzegł mnie, daje ręką znaki. Schodzę z wozu. – Co mam robić? – zapytuje – pan porucznik niech decyduje, jest tu teraz najstarszy – Nie oddawać nieprzyjacielowi – mówię – jechać. Wskazuję ręką w kierunku szosy Wracam do swego wozu – inni nawet nie obejrżeli się poza siebie, o nic nie pytają. Pędzi na koniu jakiś oficer po polu, mija mnie. Widzę, że jest to mój znajomy kolega z Uniwersytetu. I ten także mnie zauważył. – Dokąd? – woła – naprzód, do Wilna, tu są konie! – Nieprzytomny daje ostrogi i ginie w podskokach pełnym galopem.

Wreszcie szlaban, teraz gościnnie otwarty. Po naszej stronie – major Z. Jak zawsze wyprostowany, wymuskany, jakby nieco ożywiony. Wskazuje ręką autobus który stoi po tamtej stronie już na ziem litewskiej. A zatem przekraczamy granicę na rozkaz. „Wszystko w porządku”. Nigdy nie zapomnę ironicznego uśmiechu żołnierza litewskiego w chwili gdy odbierał ode mnie broń – stary pistolet – jedyną broń jaka mi pozostała. W autobusie, specjalnie podstawionym przez władze litewskie do dyspozycji oficerów znaleźliśmy się prawie wszyscy z Ośrodka Zapasowego w Nowej Wilejce Czuliśmy się tak jakby ktoś nas zdzielił pałką przez łeb – jechaliśmy jak barany. Zdawało się nam, że to nie rzeczywistość, lecz jakiś koszmarny sen.

Jest wieczór dnia. 17-go września. W nocy przyjeżdżamy do Wilkomierza, kładziemy się pokotem spać. Z rana proszą nas na, śniadanie: w dużej sali rozdają posiłki jakiegoś sympatyczne panie okazuje się miejscowe Polki (tzn. stale zamieszkałe na Litwie) – organizują pomoc dla internowanych. Tego samego dnia ładujemy się do pociągu towarowego i odjeżdżamy do Połagi. Tu dopiero Litwini dają nam konwojentów wojskowych, którzy nas otaczają ze wszystkich stron. Usprawiedliwiają się, że to jest konieczne „dla oka” ze względu na niedaleką granicę niemiecką. W ogóle przez cały czas mojego pobytu na Litwie stwierdziłem że wojskowi litewscy byli w stosunku do wojskowych Polaków bez zarzutu, a nawet uprzejmi i nie dający odczuć nam naszego poniżenia.

W Poładze przeznaczono nam na leże zimowe letnie wille i domki (przeważnie bez pieców i drewniane) użytkowane zazwyczaj w porze letniej na. tzw. wczasy, w tym okresie puste, niezamieszkałe. Mieliśmy pełną swobodę poruszania się po całym mieście, a więc i w tej części, która była stale zamieszkała z dostępem do stacji kolejowej i autobusowej włącznie. Pierwszego dnia otrzymałem od majora Z. przydział jako dowódca podchorążych. Zamieszkałem więc z kilkunastu podchorążymi w jednej wili niedaleko morza. Wszyscy oficerowie z wyjątkiem mnie zajęli luksusowe domki, ponaklejali wizytówki na swoich drzwiach, mieli specjalną obsługę.

Chodziliśmy na posiłki do budynku w którym była duża sala jadalna na podobieństwo restauracji, ale osobno oficerowie, podchorążowie i szeregowcy osobno. Niektórzy zaczęli się po trosze „zadomawiać”, chwalili jedzenie, ładny widok na morze ... ale ja od początku zacząłem przemyśliwać jakby się stąd wydostać. W tym celu pisałem listy: najpierw do Hanki do Rygi z prośbą żeby przysłała mi z Konsulatu zapotrzebowanie na przyjazd do Łotwy jako robotnika rolnego – na ten list nie otrzymałem odpowiedzi, później do Bronki z Kowna z prośbą, aby przysłała mi cywilne ubranie. Pieniądzy miałem dosyć, bo wypłacili nam za 3 miesiące gażę, którą wymieniłem na lity.

Spotyka mnie któregoś dnia major L. i czyni wyrzut, że chodzę bez ostróg. Odpowiadam mu niezbyt uprzejmie. Myślałem, że teraz między

nami wszystko skończone, kiedyś woła mnie do siebie po obiedzie i oznajmia, że jestem wyznaczony w następnej kolejce do wyjazdu za granicę. Chodziło o potajemnie zorganizowane przerzuty wojskowych barakami rybackimi na wyspę Bornholm, która należy do Szwecji, a stamtąd do Anglii i Francji. Jedna taka partia już pojechała i wkrótce potem otrzymaliśmy od jednego z uczestników wiadomość przysłaną z Bergen. Uradowałem się niepomiernie, zacząłem patrzeć na świat mniej ponuro. Jakież spotkało mnie rozczarowanie, kiedy dowiedziałem się, że Litwini, którzy dotąd patrzyli na ucieczkę z obozu przez palce nastraszeni oficjalnym *demarche* posła niemieckiego zmienili front i rozciągnęli ścisły nadzór nad kutrami na wybrzeżu a nam zapowiedzieli surowe konsekwencje.

Zapowiadało się na to, że wkrótce otoczą obóz drutami i odizolują nas od otoczenia. Nie miałem zamiaru siedzieć w obozie i czekać z założonymi rękoma, ale cóż miałem robić bez cywilnego ubrania. Można więc wyobrazić moją radość kiedy ujrzałem pewnego dnia wchodzącą do naszego pokoju Bronkę. Przyjechała na skutek moich listów i przywiozła właśnie to czego mnie brakowało – ubranie. Oczywiście, że nie zdradziłem nikomu swego zamiaru z wyjątkiem dowództwa, któremu zameldowałem o swojej ucieczce. Jeden z bliższych mi kolegów, z którym sympatyzowałem także o tym wiedział – proponowałem mu wspólną podróż, ponieważ miał ubranie cywilne, ale wymówił się, że nie jest jeszcze przygotowany.

Następnego dnia (zdaje się było to 15-go października) w południe kiedy wszyscy poszli na obiad przebrałem się, swój mundur złożyłem na łóżku pod kocem i najspokojniej w świecie wyszedłem do miasta jako zwykły cywil. Takie było moje pożegnanie z mundurem. W umówionym miejscu spotkałem Bronkę i wspólnie udaliśmy się do autobusu, który nas zawiózł na stację. Tu kupiłem bilet do Kowna, a ponieważ było trochę czasu do odjazdu pociągu weszliśmy do poczekalni. Jacyś podejrzani osobnicy zaczęli kręcić się po dworcu (okazało się, że byli to oficerowie, którzy podobnie jak ja dali drapaką), więc powiedziałem Bronce, że spotkamy się na peronie przed odjazdem pociągu, ja zaś do tego czasu skryję się gdzieś poza dworcem.

Mając bilet wyszedłem na peron i ruszyłem wzdłuż torów oddalając się dość znacznie od peronu. Ku mojej radości niebawem nadjechał pociąg. Stałem na wprost ostatnich wagonów, więc nie namyślając się wskoczyłem do środka. W przedziale był tylko jeden podróżny. Usiadłem wygodnie. Naraz zdrętwiałem: otworzyły się z trzaskiem drzwi i do przedziału wszedł policjant litewski z głośnym okrzykiem: *Pasas!* (tzn. paszport). W mig zorientowałem się, że wpadłem, ale nie tracąc czasu odtrąciłem policjanta i wybiegłem z przedziału. Nim ten się spostrzegł dałem nurka pod wagon, później skryły mnie wagony towarowe ochłonałem dopiero daleko poza stacją.

Ostrożnie zbliżałem się teraz do stacji z przeciwnej strony. Na peronie w tłumie ludzi odszukałem Bronkę. Była mocno zaniepokojona. Nikt jeszcze nie wsiadł do pociągu ponieważ wewnątrz odbywała się odprawa celna i sprawdzanie dokumentów. Pociąg przyjechał z Kłajpedy niedawno okupowanej przez Niemców, a ja, nie wiedząc o tym wpakowałem się do środka najniepotrzebniej w świecie. Na szczęście obyło się na strachu – gdyby nie moja szybka decyzja ucieczki wracałbym z wszelką pewnością jak niepyszny do obozu pod konwojem litewskich żołnierzy. Późną nocą przyjechaliśmy do Kowna. Przenocowałem u Bronki, później nie chcąc ją narażać tułałem się po różnych dziurach wespół z takimi samymi jak ja uciekinierami z różnych obozów, na Litwie bowiem było w tym czasie ok. 60 000 internowanych w kilku obozach.

W dniu mojego przyjazdu jeszcze urzędował Konsulat RP, ale już następnego dnia został zamknięty – więc nie zdążyłem zarejestrować się i uzyskać paszportu zagranicznego co uczyniło wielu moich towarzyszy niedoli. Kiedy na miejscu Konsulatu RP został otwarty Oddział do spraw polskich Konsulatu Brytyjskiego niezwłocznie udałem się tam, aby uzyskać paszport na wyjazd do Francji. Sprawa nie była łatwa: takich jak ja było dużo. Codziennie na schodach ustawiała się sążnista kolejka, wydawano numerki na kilka dni naprzód, trzeba było pokonać wiele przeszkód. Jednak nie wszyscy stali w kolejce kiedyś spotkałem pułkownika Grada-Somińskiego b. dowódcę mojego Ośrodka z Nowej Wilejki. Szedł z pewną miną, ubrany po cywilnemu z melonikiem na głowie, wracał zapewne po załatwieniu sprawy. Opowiadano, że mieszka, w luksusowym hotelu i ma już wszystkie papiery do wyjazdu.

Zanim uzyska się wizę wjazdową do Anglii trzeba było naprzód wystarać się o tymczasowy paszport litewski w tamtejszym kowieńskim urzędzie. Wystarałem się o ten paszport, ale niestety, zrobiłem błąd: podałem swoje właściwe nazwisko. Okazało się, że jeszcze potrzebna jest wiza wjazdowa, a tą można było uzyskać jedynie na podstawie zaświadczenia z głównej komendy litewskiej obozów dla internowanych stwierdzające, że nie figuruję na spisie. To oczywiście nie było dla mnie możliwe. Należało więc wyrobić paszport na obce nazwisko – lecz w tym celu potrzebny był jakikolwiek dokument polski przedwojenny, którego nie posiadałem. Aby osiągnąć swój cel było więc rzeczą konieczną dostać się do Wilna i wrócić z wymaganym dokumentem. Postanowiłem w ten sposób postąpić. Przeszedłem dość pilnie strzeżoną „zieloną” granicę litewsko-polską następnego dnia kiedy armia czerwona wycofała się z Wilna i oddała miasto Litwinom.

Wystarałem się o dokument na nazwisko kolegi gimnazjalnego i wróciłem legalnie do Kowna uzyskując prawo na kilkudniowy pobyt u władz litewskich. Znowu rozpoczęły się wędrówki, wystawanie w kolejkach najpierw po numerki, dla załatwienia sprawy. Po wielu trudach uzyskałem paszport litewski na wyjazd za granicę, wizę wjazdową francuską i wizę wjazdową angielską. Teraz potrzebowalem jeszcze: wizeny

---

przejazdowej szwedzkiej i norweskiej oraz wizej wyjazdowej litewskiej. Znowu rozpoczęły się, wędrówki, wystawania w kolejkach. Dowiaduję się, że Szwecja przerwała wydawanie wiz z powodu protestu Niemiec. To samo ogłosiła Litwa dla mężczyzn w wieku wojskowym. Wobec takich faktów trzeba było rezygnować z wyjazdu na Zachód. Roily mi się różne fantastyczne pomysły: m.in. miałem chęć maszerować pieszo na Łotwę do Rygi i stamtąd starać się o przedostanie na Zachód. Ale to były pomysły nierealne. Gdyby mnie w tym czasie przyszedł do głowy pomysł wędrówki w przeciwnym kierunku: na południe przez okupowaną Polskę do Rumunii może znalazłbym się w końcu we Francji. Nikt jednak z mojego otoczenia nie wskazywał na taką możliwość, nie było przykładu.

